

Opera Krakowska **— „Carmen” Bizeta**

W niedzielę i poniedziałek Opera Krakowska zaprasza na „Carmen”, jeden z najsłynniejszych utworów operowych Bizeta. Rzecz dzieje się w Sewilli. W fabryce pracuje piękna Cyganka Carmen, kobieta o zniewalającym uroku, łatwo zdobywająca serca mężczyzn. W Carmen zakochuje się sierżant Don Jose. Zaślepiiony jej pięknem wypuszcza Carmen z więzienia, do którego została wtrącona tam po śmiertelnym zranieniu przyjaciółki z fabryki. Carmen krótko pozostanie wierna Don Jose. Zakochana w torreadorze Escamillo czeka na jego wielki turniej w cyrku sewilskim. Podczas gdy publiczność wiwatuje na cześć Escamilla, Carmen umiera raniona przez zazdrosnego Don Jose, który przybył do cyrku, by rozprawić się z niewierną Cyganką.

Partię Carmen śpiewa **Bożena Zawisłak-Dolny**, partię Micaeli — **Krystyna Tyburowska**. W roli Don Jose wystąpi **Janusz Dębowski**, w roli Escamilla zadebiutuje **Przemysław Firek**.

" CZAS KRLK "

10-12 XI 1995

Stara „Carmen” — nowa dyrekcja

Trzecia strona medalu

GAZETA KRAK

20 XT 1995

Utarło się, że nowe artystyczne przedsięwzięcia krytyka nagradza bądź karze recenzjami. Stymulujące to i skądinąd potrzebne, daje bowiem jako taką pewność, że pseudosztuka albo spadnie z afisza, albo frekwencji mieć nie będzie. Jednak nie byle jaką nowością są ostatnie recenzje ze starej, krakowskiej „Carmen” granej z różnym, ale powodzeniem od lat czterech. Brać recenzencka ponownie kusi się o ocenę i biadoli nie tyle nad śpiewakami, co przede wszystkim nad reżyserią i scenografią. Dziwne?

Raczej tak, jeśli wziąć pod uwagę jej ospałość w opisywaniu „przewrotu majowego” w Krakowskiej Operze. Raczej nie, skoro nareszcie powstała i po miesięcznej działalności nowej dyrekcji rewolucję zauważyła. Że późno? Grunt, że uczciwie — razy i baty rozdano równu-sieńko...

Powody zawsze się znajdują.

Po pierwsze — jest nowy dyrygent Ruben Silva, i to za jego sprawą, jak twierdzą znawcy, orkiestra rozlaży się w różnych dziwnych kierunkach. A że wreszcie gra żywiołowo, z pasją i potrafi rozgrzać publikę, to mało?

Po drugie — w towarzystwie solistów, którym obecnej formy doprawdy pozazdrościć może niejedna licząca się scena, pojawił się nowy głos, Przemysław Ferek jako Escamillo. Łaskawie przyznano, że z rolą sobie poradzi, ale pewnie w przy-

szłym sezonie. A że debiutował po trzech próbach...

I po trzecie — ci, co się nie miotali na scenie to się miotają, ci którzy śpiewali pięknie — przestali, ci którzy aktorsko byli sprawni już tacy nie są, a cała opera po czterech latach wzięła w łeb, bo nowa dyrekcja stawia na ilość a nie jakość...

A jednak. Stara „Carmen” trzyma się wcale nieźle i przyciąga komplet melomanów. Pomaga jej w tym — i tu wszyscy są zgodni — stary Bizet, którego „kawalki” publiczność kochać będzie wiecznie.

Na co więc stawia nowa dyrekcja? Bo przy rozliczaniu miliardowych długów i porządkach na cudzym podwórku — było na to niespełna dwa miesiące, chyba trudno o superprodukcję.

Ale są tacy, których spokojna ewolucja nie zadowoli. Tylko czy krakowskiej operze potrzebna kolejna rewolucja?

Adrianna GINAŁ

Piramida z zapalek

Nie chcę nikogo przekonywać, że „Carmen” Bizeta jest dziełem doskonałym pod względem dramaturgicznym i muzycznym, bo o tym wie każde średniointeligentne dziecko. Jest też operą trudną i wymagającą sporego doświadczenia od całego zespołu wykonawców.

Krakowskie przedstawienie zdomowione na scenie Opery od kilku sezonów przyciąga komplect publiczności pomimo różnorakich uduńień mających na celu zagmatwanie akcji. Mam tu na myśli wizualne rozmnożenie postaci Don Joségo, które nieświadomy zabiegów reżyserkich widz może sobie wytumaczyć nadmiernym spożyciem napojów wysokokowych lub konsumpcją grzybków halucynogennych przed spektaklem. Występująca w tytułowej roli Bożena Zawisłak-Dolny była od czasu premiery magnesem przyciągającym rzesze wielbicieli i fanów jej talentu. W niedzielnym przedstawieniu zaprezentowała długo oczekiwany przez wszystkich umiar. Wreszcie nie była to Carmen dyskotekowa – miotająca się po scenie w chorobliwych konwulsjach; no jeszcze na krótko wróciła do dawnych przyzwyczajęń w II akcie, ale w pozostałych scenach opery zademonstrowała rzeczowe i naturalne aktorstwo poparte właściwą ekspresją wokalną. Swoją partię zaśpiewała wypoczętym głosem, co dodało postaci Carmen blasku i uroku. Świetnie wypadła aria z kartami z III aktu eksponująca egzotyczne barwy głosu śpiewaczki. Jedyne, czego zabrakło w jej śpiewie, to większej swobody w wyższym rejestrze.

Tego samego wieczoru zadebiutował w roli Escamilla solista Opery w Krakowie – Przemysław Firek. Nie byłoby w tym niczego dziwnego, gdyby nie fakt, że partię toreadora wykonują barytony i tylko nieliczne basy mają odwagę zmierzyć się z tą krótką, ale niewdzięczną partią. Jego występ był bardzo poprawny od strony wokalne – sławne kuplety toreadora zaśpiewał ze swobo-

dą i werwą. Gorzej było z aktorstwem zdradzającym zbyt małą ilość prób. W niedzielnym występie dało się wyczuć umiejętnie maskowaną, acz sporą treść, która z pewnością ustąpi przy kolejnym występie w tej roli.

W śpiewanej roli Don Joségo wystąpił Janusz Dębowski, który nie zaskoczył mnie żadnymi zmianami w ekspresji wokalne, wziętej jakby żywcem z Wagnerowskiej Tetralogii. Bolesnie odczułem to w przepięknej arii z kwiatkiem, będącej w muzyce francuskiej kwintesencją liry zmu i delikatności, zaśpiewanej głośno i krzykliwie. Płakać się chciało, ale niestety nie ze wzruszenia...

Postać Micaeli jest w operze Bizeta delikatna i cukierkowa, ale prosta – jest przecież większą dziewczyną. Krystyna Tyburowska, choć filigranowa w wyrazie, bardziej przypominała lalkę Barbie niż piękną wieśniaczkę. Aria z III aktu – zdradzając duże tremolo w głosie śpiewaczki – nie wypadła najlepiej, pomimo pięknego zakończenia w eterycznym piano.

Wyjątkowo skutecznie przeszkadzała solistce sekcja dęta orkiestry grająca bardzo dziwne nuty w akompaniamencie do tego fragmentu. Ruben Silva, który pojawił się po raz kolejny w Krakowie, powinien jednak poświęcać więcej czasu na próby z zespołem, który firmuje własnym nazwiskiem. Przedstawienie zdradzało niewielką porcję pracy przed niedzielnym występem i poszczególne fragmenty rozsypywały się jak piramidy z zapalek. Orkiestra goniła chór, a chór orkiestrę i całe szczęście, że soliści postanowili nie brać udziału w tej gonitwie.

Opera występuje teraz rzadziej, ale pomimo wszystkich przeciwności losowych i nie najweselejszej sytuacji tego teatru jakoś produkcja nie powinna maleć wprost proporcjonalnie do ilości.

Opera w Krakowie,
Giorgio Bizet „Carmen”,
reżyseria i choreografia –
Hanna Chojnacka,
scenografia – Liliana Jankowska

Sierżant Zorba

Gdyby – z winy Szekspira – Hamlet nie musiał mówić wciąż, że Dania jest więzieniem, to ani chybi orzekłby, że więzieniem jest Hiszpania. Śladami rewelacji powyższej krocząc, reżyser Hanna Chojnacka postanowiła śpisać „Carmen” Bizeta kłamrą bezwzględnie więzienną. I śpiewa. Słynny romans operowy Cyganki i sierżanta tyleż się dzieje, co wysnuwa, przędzie, niczym Norwidowska nie czarna – wprost z jaźni przebywającego w kryminale Don Joségo.

Oto bowiem wszystko już się stało. Koniec też. Sztylet sierżanta przeszył już niewierne serce gorąco krwistej i śniadej Carmen. Siedzi teraz w kącie sceny – ów krewki kochanek – siedzi w izolacji; w cieniu krat, o wodzie i czarnym chlebie. Duma o przeszłości. Tańczy na pryczy. I wspomina na pryczy. Jest sierżantem na pryczy tańcząco-wspominającym. Spektakl się rozpoczyna. Będzie retrospektywą roztańczoną...

Przedziwna rzecz. Członki wszystkie tancerza, a zwłaszcza lico jego, jasno sugerują mroczną myśl Goyi, iż demony budzą się wtedy, gdy rozum śpi. Jednak to, co dzieje się na środku sceny, czyli to, co rozgrywa się wewnątrz czaszki sierżanta, czyli „Carmen” Bizeta, demonizmowi cielesności Don Joségo zadaje kłam. Ciało jest w wyraźnej kontrze do mózgu. Na środku bowiem panuje sielskość i anielskość hiszpańskiej cepeliady. Od pierwszej do ostatniej sceny. Nieskazitelną, czarne koronki sukien hiszpańskich niewiast, wachlujących się nieustannie fantastycznymi wachlarzami i ćmiących papieroski w firkach o wiele dłuższych od ich i tak niebotycznych nóg. Krwiste i szczerozłotą nicią tkane kubraki wysmukłych toreadorów, rażno kroczących po scenie tam i nazad, w poszukiwaniu mor-

derczych byków. Nogi co i raz fikające flamenco, dłonie kreślące wysoko nad głowami jakież hiszpańskie zawijasy. A wszystko skąpane w jasnym, szczerym świetle południa. Pyszna bombonierka, pełna sewillskich smakowitości. Turystyczny folder, chciałoby się rzec „Pojeźdź z nami, przyjacielu, a poznasz smak prawdziwej przygody.” A Don José ciągle tańczy swój przejmujący, więzienny taniec ciemności.

Gdy oni tam, na scenie, w jego głowie wino piją z dziewczynami, on tutaj, w kryminale, rzuca się w rozpacz na kraty. Gdy tam on, jako José wolny, śpiewa, tutaj, jako zniewolony, patrzy bardzo straszliwie w przestrzeń. Cóż on tam tak widzi i widzi? – pytałem sam siebie przez trzy akty. Cóż chce dać do zrozumienia, patrząc tak i patrząc, fundamentalnie? Aż nadświelił akt czwarty i pojąłem wszystko!

Oto plac przed cyrkiem w Sewilli. Ale fasada cyrku okazuje się wysoką palisadą ze zdrowych, słowiańskich pni świerkowych. Pojąłem – to nie Sewilla! To, jako żywo, słynna hiszpańska osada Biskupin! Więc o to chodziło – o myśl, iż kultury narodów delikatnie się przenikają, zachodzą na siebie, dookreślają. Wszystko może być Sewillą, jak i wszystko – Biskupinem! Los sierżanta jest losem ponadczasowym i ponadkulturowym w istocie swej. Pamiętaj, Polaku z dobrym nosem – i ty zostań mozesz Don José!

Ale pamiętaj też o czymś jeszcze. Wolność, jak dowodzi przypadek sierżanta Pani Chojnackiej, oznacza śpiew, kraty – jedynie balet, czyli brak głosu. Swoboda to dla ciebie, jak nucił Marek Grechuta, śpiew, jak z dymu kółka, kryminał zaś – to zaledwie nienaganna praca nóg. Jak pisał Jerzy Pilch. Wybieraj.

PS. Piszę o starym spektaklu, aby zasugerować świeżej, dzisiejszej dyrekcji, że nie powinna iść po śladach dyrekcji niedysiejszej.

Zacząła od klapy. Czajkowski jednak wróżył jej karierę. Ale i on, nawet w najśmielszych prorocत्वach, nie przewidział, że będzie ją nucić sześć pokoleń. Z operowej sceny gładko przeszła przez teatralną i baletową. Trafiła do filmu i reklamy. Niby wiekowa, nie hiszpańska, bo francuska, a opętała świat

Carmencita

burzy zmysły

GAZETA KRÓL 29. III 1996

Muzyczna historia pięknej Cyganki, ostatnie dzieło pianisty z zamilowania, a kompozytora z talentu, miało rozślawić imię twórcy na całym świecie. I rozślawiło. Tyle, że Georges Bizet, wyczerpany morderczą pracą nad partyturą liczącą tysiąc dwieście stron i zawiedziony lodowatym przyjęciem opery, w trzy miesiące po premierze zmarł. Dokładnie o tej godzinie, gdy w Paryżu kończył się IV akt trzydziestego trzeciego z kolei przedstawienia „Carmen”.

W pogrzebie artysty uczestniczyły tłumy spóźnionych wielbicieli. Zniknęły szydercze recenzje, ognista Carmencita rozpoczęła triumfalny taniec po scenach świata. Fenomen Giocindy?

Powodzenia opery i samej Carmen nie są w stanie oddać dziewiętnastowieczne kroniki. W dobie teatrów, nie kina, radia czy telewizji, szybkość z jaką przemierzała kontynenty była równie zawrotna co dziś. Zresztą i opętanie jest podobne, bo czy nie zdarzało się, że w tym samym kraju, na czterech czy pięciu liczących się scenach, wirowały w rytm kastanietów kuszące Carmen-city?

W 1908 „Carmen”, jako jedną z pierwszych oper, zarejestrował na dwudziestu kilku jednostronnych płytach sam Emil Berliner. Od 1915 grały ją największe gwiazdy kina: Edna Purviance, Pola Negri, Dolores del Rio i Rita Hayworth. W balecie równej sobie nie miała Maja Plisiecka, primabalerina o fenomenalnym talencie.

Lista wybitnych kreacji operowych jest dłuższa: Maria Callas, Victoria de los Angeles, ciemnoskóra Leontyna Price, Teresa Berganza...

Wypadałoby też wspomnieć o inscenizacji Włodzimierza Niemirowicza-Danczenki, spektaklu Petera Brooka, niepowtarzalnych wizjach Francesy Rosiego, Carlota Saury i Jean Luc Godarda.

Do grona opętanych muzyków, śpiewaków, dyrygentów, reżyserów, scenografów, kostiumologów dołączyła miliardowa publiczność. I gdyby tylko jakiś recenzent chciał szybko zakończyć karierę wystarczyć, by rzekł: „Carmen”? Przecież to cikli i traci myszką!

Odłona I — kiedy ktoś kogoś pokochał

Cyganka Carmen. Wolna jak ptak, wierzy w potęgę miłości, lecz nie uznaje żadnych wiązań uczucie przysięg i obietnic...



— Wiem, jaka moja Carmen powinna być, ale właściwie nie chcę wiedzieć, choć nie jedną noc spędziłyśmy z reżyserką, ustalając każdy jej krok i gest — mówi Bożena Zawisła-Dolny, krakowska Carmen w przedstawieniu autorstwa Hanny Chojnackiej nie schodzącym z afiszów nie tylko Teatru im. J. Słowackiego. — Postać, bliska mojej psychice, którą grałam pewnie ze sto razy, i tak za każdym razem wydaje się inna. Jej historia przypomina mi tyle osobistych przeżyć, że chyba gdzieś zatarła się granica. „Carmen” to fuzja uczuć, emocji, doskonale skonstruowanej muzyki, opowieść którą należy traktować z należyty szacunkiem. Nie tak jak się ostatnio zdarza, że scenę zasłania 8-metrowy byk, soliści stoją na krańcach sceny i wszystko



jest tak przebudowane, że gdybym tego nie знаła, to nie wiedziałabym w którym momencie ktoś kogoś pokochał czy zniechęcił.

W Gdańsku pracowałam z Maksymiukiem, który w trakcie próby zauważył, że w ogóle na niego nie patrzymy. Śpiewamy, biegamy po scenie i chcemy, by on nam akompaniował. Potwornie się obruszył — jak to możliwe, teatr teatrem, ale to jednak jest opera, a właściwie... też teatr. Przecież wokalista nie

może stanąć sztywno i po prostu odśpiewać swoje. Musi zagrać. I z tym nie mógł nie zgodzić się pełen uwielbienia dla Marii Callas Maksymiuk. Przypomniał sobie znakomitą aktorsko śpiewaczkę niemal charczącą w „Tosce”. Nie dlatego, że nie starczało jej głosu, tylko ona tak tę arie słyszała...

Odłona II — wielka miłość i wielka rozpacz

Sierżant Don José. Młody przystojny mężczyzna rozdarty między światem uczuć szlachetnych a rozżarzoną do ostateczności przez zmysły. Corrida z namiętnym uczuciem wciąga go w śmierć

— Rolę dostałem w bardzo młodym wieku i przyjąłem z dużym strachem — opowiada Janusz Dębowski, Don José. — W końcu wielkie światowe nazwiska, choćby trzech tenorów, dźwigają ten repertuar. Trzeba było w postać włożyć najszlachetniejsze swoje cechy, bo taka ona jest. Don José zakochany jest w Michaeli, a pojawia się Carmen — dzika, namiętna, szalona. Zawiadnęła nim zupełnie. Być może w jego naturze była chęć spotkania takiej kobiety. Muzyka Bizeta buduje emocje



Odłona III — nie świergolić i nie kaszleć

Marii Callas, jako Carmen, zarzucano histeryczność. Julii Migenes Jones, że urodą nie przystaje do synonimu Hiszpanii w operze. Jeszcze innym — nie dopracowane aktorstwo, partie wokalne. Całym realizacjom zbyt modernistyczne podejście, nieprofesjonalne skróty w partyturze. Oczy

będzie po prostu śmieszne. Dotyczy to nie tylko Carmen. Pamiętam zawzięcie kaszlącą Traviatę czy przeraźliwie świergolącą Małgorzatę.

— Jest to jedna z najgenialniejszych partytur — samo życie — wyznaje Andrzej Biegun. — Właściwie jak każda opera dotyka najgłębszych treści: miłości, zazdrości,

Epilog — hit, ale i wielka sztuka

— Atuty „Carmen” są nie do przecenienia — mówi Jerzy Noworol, dyrektor Opery i Operetki w Krakowie. — Zawsze będzie miała publiczność. Zarówno w muzyce, jak i samym libretcie jest tyle różnorodnych wątków i zdarzeń, że w każdym przedstawieniu można dostrzec zupełnie odmienne wartości. Świadectwem tego choćby ostatnie tournée zespołu po Danii z realizacją, graną z powodzeniem od kilku lat. Z drugiej strony, takie hity niosące z sobą archetypy prawdy o życiu przyciągają publiczność do opery. I tak powinien być skonstruowany program, by zawierał całą paletę oper najsłynniejszych. To praca na lata. Mamy w końcu zespół solistów, znakomitych i różnorodnych aktorsko. Jeszcze w tym sezonie ujrzymy ich w kolejnych premierach — „Czarodziejskiego fletu” W. A. Mozarta i „Księżniczki czardasza” J. Straussa. Ciekawostką jest, i może to trochę zmieni estetykę opery, że planujemy podczas przedstawień uruchomić nad sceną telebim, na którym — na bieżąco — byłby tłumaczony tekst libretta. To też powinno ośmielić tych, którzy przychodzą do nas z rzadka, tylko na kilka słynnych arii.

Adrianna GINAŁ
Zdjęcia Juliusz Multarzyński



„opętanych” uważnie jednak śledzą dzieci.

— U Bizeta nie ma katarynkowych melodii, a każdy takt podkreśla mieniące się uczucia — mówi Krystyna Tyburowska. — Śpiewacy muszą przeżyć je na scenie. Ułatwia im to przedstawienie zrobione zgodnie z tradycją i zamierzeniami kompozytora. Nie zrealizowane z odpowiednim smakiem

zdrady, śmierci — po prostu człowieka.

— W „Carmen” muzyka tak wyraźnie je niesie. Samo słowo „kocham” wypowiedziane nie wiem jak czule, a podkreślone dźwiękiem Bizeta, czy jemu podobnych mistrzów, wywołuje nieprawdopodobny rezonans u słuchaczy. To właśnie jest siła opery — podsumowuje Krystyna Tyburowska.